

Rząd według Lutosławskiego

Profesor Wincenty Lutosławski (1863-1954), filozof (prawie że rówieśnik innego wielkiego filozofa Feliksa Konecznego), mesjanista, publicysta, działacz narodowy, do swojej książki zatytułowanej „Jak rośnie dobrobyt” dopisał w Wilnie w roku 1926 specjalny rozdział o „tajemnicy powszechnego dobrobytu”. Twierdził w nim, że powszechny w Polsce dobrobyt jest możliwy do osiągnięcia w ciągu kilku pokoleń, jeżeli większość obywateli zrozumie pewne prawdy, które dziś z „bezczelną śmiałością” tłumione są przez „współczesnych demagogów, liberałów, radykałów, socjalistów i bolszewików”. Warunki te, zdaniem Wincentego Lutosławskiego, to: dobry i trwały rząd, potęga państwa zabezpieczająca trwały pokój, sprawność sądownictwa i policji, (szczególnie w zabezpieczaniu życia i mienia), stała waluta, wysoki poziom szkół i wychowania publicznego, bezwzględna wolność pracy i twórczości.

W felietonie jest tylko miejsce na bardzo krótki opis pierwszego z warunków. I niech nie przeszkadza nam świadomość dziejowych dramatów, jakich doświadczyła przez ten czas Polska, gdyż myśl Platońska, której wierny był Lutosławski i dziś ma swoich gorących zwolenników, stąd bynajmniej nie anachroniczne spostrzeżenia profesora. Brzmia nawet współcześnie, a już szczególnie miłe są dla ucha, gdy przychodzi nam oceniać poziom współczesnej debaty politycznej.

Źródłem niekompetencji rządu jest dla Lutosławskiego sejm „wybrany przez głosowanie powszechne nieuków, zwodzonych przez

interesownych demagogów". W ustroju parlamentarnym przejętym „żywcem od Francuzów” uznano fałszywą zasadę, że prawa polityczne daje sam fakt urodzenia, bez żadnej zasługi, bez żadnych kwalifikacji moralnych ani umysłowych – pisze Lutosławski. Zdziwiłby się, gdyby poznał pomysły współczesnych polskich kobiet domagających się „parytetu”, czyli specjalnego mechanizmu politycznego zapewniającego im przywilej uczestniczenia w rządzeniu ze względu na... płeć. A jak by odebrał postulat Platformy Obywatelskiej o obniżeniu wieku wyborczego do 16 lat, kiedy uważał, że wyborcą politycznym może być tylko osoba, od której można wymagać „pewnych wysokich kwalifikacji umysłowych i politycznych”. W tym zamyśle Platformy szło oczywiście o uzyskanie korzystniejszego wyniku wyborczego, przed czym przestrzegał już 80 lat temu Wincenty Lutosławski. Pisał mianowicie, że jeśli prawa polityczne przyznamy wszystkim, to „nieuchronnie takie powszechne głosowanie staje się fikcją, gdyż przeważnie nieoświeceni wyborcy zbyt łatwo nabyte swoje prawa sprzedają tanio, bądź za pieniądze, bądź za nieziszczalne obietnice”. (Pamiętamy, jak głosy wyborców zdobywała Renata Beger, a co obiecywał w kampanii Donald Tusk?) A kiedy już złapani obietnicami wyborcy zagłosują, to, znowu zaglądam do tekstu Lutosławskiego – „...do sejmu dostają się ludzie ambitni, chciwi, kłamliwi, nie mający żadnego wyobrażenia o potrzebach państwa”.

Postulat posiadania przez wyborców kwalifikacji moralnych i umysłowych, w stosunku do aspirujących do władzy polityków nabiera u Lutosławskiego jeszcze większego znaczenia. Jak to uzasadnia? Pisze: „Izba złożona z kilkuset posłów jest niedorzecznością i dobrze obradować nie może, przede wszystkim dlatego, że w żadnym kraju tylu ludzi mądrych i zacnych, znających się na polityce narodowej nie ma”. W tym momencie Wincenty Lutosławski okazał się bardziej postępowy, czy może radykalniejszy od Platformy Obywatelskiej, która wyszła ostatnio z pomysłem ograniczenia liczby posłów z 460 do 300, a senatorów ze 100 do 49. Otóż Lutosławski uważał, że liczbą w pełni wystarczającą byłoby 3 posłów na 1 milion obywateli, czyli dziś 114 posłów na 38 milionów Polaków, jeżeli oczywiście „sejm ma być ciałem poważnym, sprawnym i budzącym zaufanie narodu”.

Jaka jeszcze myśl profesora Lutosławskiego zachowuje dziś swoją nadzwyczajną aktualność? Taka mianowicie, jaką wyrażają środowiska reprezentowane przez współczesnych nam dwóch profesorów: Mirosława Dakowskiego i Jerzego Przystawy, postulujących od lat wprowadzenie jednomandatowych okręgów wyborczych. Chodzi o to, aby każdy, kto wybiera, wybierał osobę, a nie listę. A tak to barwnie uzasadniał Lutosławski: „Wybory z listy są wymysłem demagogii społeczeństw o daleko wyższym poziomie organizacji i oświaty, niż nasze i dla nas są zgubne, bo ułatwiają warchołom zdobycie władzy”.

Jeszcze większe znacznie przywiązywał Lutosławski do organizacji rządu. Postulował znaczne ograniczenie liczby ministerstw i funkcji rządu na rzecz społecznych i niezależnych od państwa organizacji. Jako najważniejsze pozostać miały: ministerstwo sprawiedliwości, spraw zagranicznych, spraw wojskowych i spraw wewnętrznych oraz skarbu. Tylko pięć ministerstw powiększonych ewentualnie o ministerstwo komunikacji i oświaty. Ale widać, że Lutosławski nie był do tego pomysłu zbyt przekonany, szczególnie jeśli chodzi o oświatę. Pisał: „Szkoly nie zyskaja na tem, że zaleza od rządu państwowego, a daleko korzystniej byłoby je uniezależnić i oprzeć ich byt na ofiarności społecznej. Ogromne i bogate uniwersytety amerykańskie są przeważnie takimi instytucjami niezależnymi, a im więcej jest w państwie potężnych instytucji od państwa niezależnych, tem większą gwarancję mają obywatele wobec zawsze możliwych nadużyć państwowych.” Co charakterystyczne Lutosławski uważał, że takie ministerstwa jak pracy, opieki społecznej, rolnictwa, handlu i przemysłu są „nie tylko zbyteczne, ale nawet bardzo szkodliwe”.

I tu profesor chyba znowu miał rację. Gdyby tak było, nie mielibyśmy afery rywinowskiej, gruntowej, hazardowej, przetargowej, stoczniowej, podsłuchowej i wielu innych. Przywołałem ledwie kilka myśli zapomnianego dziś wielkiego Polaka prof. Wincentego Lutosławskiego, myśli oryginalnych,

polskich i nadal aktualnych. Tak jak nadal aktualne jest oczekiwanie Polaków na dobry i trwały rząd.

Wojciech Reszczyński

„Nasz Dziennik” 04.03.10